

JULES CLARETIE.

Tajemniczy oskarżyciel.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

— Więc w ostatnich czasach nie przyjmował nikogo?

— Przepraszam pana komisarza, źle się wyrażam, mówiąc w ten sposób. Jeden pan tu przychodził.

Mówiąc to Moniche spojrzał na żonę, jak gdyby chcąc, aby ona mówiła dalej.

— Co za pan?

Pani Moniche wstrząsnęła tylko głową w milczeniu i rzuciła na męża niespokojne spojrzenie.

— Dlaczego nie odpowiadacie? — nalegał komisarz — O kim mówiliście?

W tej chwili Bernardet, który, stojąc na progu salonu, badawczo oglądał bibliotekę pana Rovere, nie tracąc ani jednego słowa z rozmowy, przybliżył się cicho i stanął obok Moniche'a.

— Jaki pan? O jakim panu chcecie mówić? — pytał dalej komisarz podrażnionym już głosem, zauważwszy dziwne wahanie się dozorcy i jego żony.

Ale żadne z nich nie zdradzało ochoty do dalszego mówienia.

— Cóż to ma znaczyć? — zauważył komisarz — Cóż to za tajemnica?

— A no, proszę pana komisarza — zdecydowała się nareszcie pani Moniche, — oto rzecz cała. Może to w gruncie rzeczy będzie bez znaczenia, ale może się panu komisarzowi przyda do śledztwa. — Nie chcieliśmy mówić, bo może to rzucić podejrzenie na najniewinniejszego człowieka, ale skoro pan komisarz tego żąda... Mów, Moniche...

— Jednego dnia, proszę pana komisarza — zaczął Moniche — wieczorem, jakiś pan zapytał się w łóżko pana Rovere, poszedł do niego i bawił tam dosyć długo.

— Jak wyglądał ten pan?

— Bardzo przyzwoicie. Starszy już był i ubrany był bez zarzutu. Żona moja, która w jakiś czas później poszła zaświecić gaz na schodach, widziała, jak ten pan wychodził od pana Rovere i był bardzo zmieszany. Błady był i miał silnie zaczerwienione oczy.

— Czy znacie nazwisko tego pana?

— Żona moja kilkakrotnie chciała je poznać, a raz gdy wprost zapytała pana Rovere, jak się nazywa ten pan, który go odwiedza — pan Rovere odparł ostro: „A cóż to może was obchodzić?” I naturalnie moja żona już się więcej o to nie pytała i jakoś niechętnie patrzyła na tę nową znajomość naszego lokatora.

— Instynkt, panie komisarzu! — westchnęła głęboko pani Moniche — Przeczucie mówiło mi...

— Gdybyśmy się mieli kierować przeczuciem — przerwał pan Desbriere — ładne głupstwa by z tego wynikały...

— Panie komisarzu! — przerwała urażona koleżka pani Moniche — To nie były tylko przeczucia.

— Oh, oh! Cóż więc takiego było? — prosiła mówić.

Bernardet nie spuszczał oka z dozorczyni i jej męża podczas całego badania, od czasu do czasu tylko wzrok jego przechodził na zwłoki zamordowanego i wtedy silna zmarszczka występowała na jego czole, jak gdyby przeczuwał w myśli trudny jakiś problem do rozwiązania.

— Jak wiadomo panu komisarzowi — zaczęła dozorczyni — miałam zawsze i o każdej porze wstęp wolny do mieszkania naszego lokatora, bo byłam jego gospodynią, lektorką i, mogę powiedzieć, prawie powierniczką. Pan Rovere był gwałtownym, ale w gruncie bardzo dobrym człowiekiem. Kiedy wchodziłam do niego nie w oznaczonych godzinach, nie spodziewanie, jak się mi to niekiedy zdarzało, witał mnie zawsze słowami: „Co tam nowego, pani Moniche? POCO się pani trudziła? Nie potrzebuję niczego!” — Bo, proszę pana komisarza, chociaż dzwonek łączył nasze mieszkania i pan Rovere mógł mnie zawezwać w każdej chwili, wchodziłam do niego, nie czekając na wezwanie.

— A w jakimże to celu, pani Moniche?

— Mój Boże, byłam bardzo przywiązana do pana Rovere i żał mi go było, kiedy zaczął chorować. Przychodziłam więc ogień poprawić, aby się nie przeziębił lub przygotować mu szklankę herbaty. Otóż, jednego wieczoru, na dwa dni przed zbrodnią, przyszłam, jak zwykle, i zastałam w gabinecie mojego lokatora tego pana. Stali obydwoj przed kasą ogniową, która była otwarta i prze-

glądali jakieś papiery. Pan Rovere był blady. Tamten pochylał się nad nim i chciwie patrzył na papiery.

— Co to były za papiery? Czy pani je dobrze widziała?

— Doskonale. To były akcje wartościowe, kupony takie, jakie widywałam w bankach. Stałam zdumiona na progu, a pan Rovere na mój widok silnie brwi zmarszczył i uczynił ruch, jak gdyby chciał schować papiery. Ja wtedy cofnęłam się, przepraszając pana Rovere, ale zobaczyłam doskonale zawartość kasy. Dużo tam było takich papierów, i złotych i niebieskich, większych i mniejszych.

— Czy pan Rovere mówił co do pani?

— Nie, ale wydawał mi się być w bardzo złym humorze.

— A tamten?

— Tamtem, także był taki blady. Podobni zresztą byli do siebie. Może to był krewny pana Rovere. Spostrzegłam tylko jego niezadowolone i gniewne spojrzenie, kiedy wchodziłam do pokoju. Zeszłam tak zmieszana do naszej łóżki, że Moniche zauważył to i opowiedziałam mu zaraz wszystko.

— Czy ten pan jeszcze powrócił?

— Powrócił jeszcze nazajutrz i długi czas rozmawiał z panem Roverem. Byłam w drugim pokoju i zauważyłam, że mówili przyciszonymi głosami.

— Czy nie dosłyszała pani jednak jakiegoś słowa?

— Przysłuchiwałam się dosyć ciekawie — przyznała się z całą naiwnością pani Moniche — ale mówił tak cicho, że tylko lekki szmer głosów mnie dochodził. Ale kiedy w końcu tamtem opuścił pokój, usłyszałam jak pan Rovere rzekł do siebie:

— Powinienem być wszystko wcześniej powiedzieć!

Pani Moniche mówiła dalej jeszcze, jakając się, wzdychając, wahając się i w słowach jej Bernardet, przysłuchujący się uważnie, wyczuł jawne, chociaż maskowane przestrachem odpowiedzialności, oskarżenie. Ileż to zaś słowa jej stawały się wyrazistymi, Moniche interweniował wzrokiem i mówił surowo:

— Nie wolno ci jeszcze tak sądzić. Czas wszystko pokaże. Ten pan miał wygląd bardzo porządnego człowieka.

A wtedy pani Moniche szerokim giestem wskazywała rozciągnięte zwłoki na ziemi i mówiła:

— A on! Pan Rovere! Czy nie miał wyglądu zacnego i porządnego człowieka! A przecież leży tutaj zamordowany podle, jak ulicznik jaki, albo apasz.

Bernardet, słysząc to, uśmiechnął się lekko.

— Pan Rovere i teraz także ma wygląd zacnego człowieka — rzekł, patrząc na zmarłego — Zdaje się nawet patrzeć odważnie na morderców swoich. Jestem przekonany, że gdyby można odgadnąć ostatnią myśl tego mózgu, który już przestał funkcjonować i przejść z tych oczu zamarych ostatnich, odbity w nich obraz — to wiedzielibyśmy, w jaki sposób dokonano zbrodni i kto był jej sprawcą!

— A może pan Rovere popełnił samobójstwo — poddał komisarz policyi.

Ale Bernardet odrzucił kategorycznie tę hipotezę, wykazując jej niemożliwość. Rana była za nadto głęboką, aby być zadana własnoręcznie, a zresztą odnaleziono by broń, którą się pan Rovere posłużył. A musiał nią być nóż duży lub sztylet, tymczasem nic podobnego w zbiorze nie znaleziono. Morderca, dokonawszy czynu, uniósł ją ze sobą i prawdopodobnie gdzieś po drodze porzucił. Tę rzecz, jak twierdził Bernardet, należało wyjaśnić jak najprędzej.

— Tak, pan Bernardet ma słuszność! — przyznał po chwili zastanowienia komisarz — Samobójstwo w tych warunkach jest wykluczone, jednakże pomimo tego zwłoki muszą podlegać oględzinom lekarskim.

Ku wielkiemu jednak zdziwieniu komisarza Bernardet usilnie nalegał począł, aby jak najprędzej zawezwano generalnego prokuratora i wysłano zwłoki do Morgi.

— Biedny nasz pan! — oburzała się pani Moniche — Wystawiony ma być w Mordze, jak pierwszy lepszy włóczęga!

— To jest konieczne — obstawał przy swoim Bernardet — i trzeba to uczynić jak najspieszniej. Zresztą to jest prawo. Pani Moniche, proszę nie czynić żadnych uwag w tym względzie. Panie komisarzu — dodał, zwracając się do pana Desbriere — błagam pana, działajmy szybko. To jest konieczne. Powiem panu, dlaczego. Mam myśl pewną. Im prędzej zwłoki wystawione zostaną, tem prędzej odnajdziemy winnego.

Komisarz, nagłony w ten sposób, bezzwłocznie

wysłał jednego z agentów do biura telefonicznego, celem uprzedzenia prokuratora, a pani Moniche, nie mogąc zrozumieć takiego barbarzyństwa, jak się wyrażała, wywodziła dalej żale swoje przed reporterem, notującym coś zawzięcie na ćwiartce papieru.

Tymczasem czas upływał, a poza oknami mieszkania gwar zbitego tłumu wzrastał się, dochodząc aż do salonu, gdzie leżał zmarły. Komisarz przy małym stoliku oświetlonym świecą, bo stopy wszystkie były szczelnie pozapuszczane — pisał raport, od czasu do czasu zwracając się do agenta Bernardeta o szczegóły jakiś.

Agent był zniecierpliwiony długim oczekiwaniem na prokuratora i przechadzał się nerwowo po pokoju potrącając meble.

Pozatem cisza głęboka osiadła w mieszkaniu pana Rovere, a ci sami ludzie, którzy jeszcze przed chwilą głośno i gorączkowo objaśniali komisarza, mówili teraz szeptem stłumionym, jak gdyby nie chcąc zakłócić spokoju leżącemu pośród nich zmarłemu.

Nagle silny odgłos dzwonka zmałił tę ciszę. Bernardet odetchnął.

— To zapewne pan prokurator — objaśnił z zadowoleniem. Poczem spojrzał na zegarek i dodał:

— Dzięki Bogu, pozostaje nam jeszcze dosyć czasu.

Był to rzeczywiście prokurator, któremu towarzyszył sędzia śledczy, pan Ginory, znany ze swojej surowości dla przestępców. Bernardet znał ich obydwóch. Nieraz już był zawezwany przez prokuratora, pana Jakóba des Andrays i „pracował” z nimi w odkryciu jakiejś sprawy. Wiedział, że pan Ginory był człowiekiem sprawiedliwym i dobrym, chociaż obawiano się go bardzo. Pan des Andrays zaś był człowiekiem już starszym o młodzieńczy wyglądzie. Postawę miał wyniosłą, urzędową brodę starannie rozczesaną na dwie strony i małe, wypłowiałe oczy, zasłonięte okularami. Mówiono o nim, że jest bardziej elegancki, niż zdolny.

Pan Ginory podszedł prosto do zwłok i kazał sobie opowiedzieć szczegóły morderstwa, prokurator zaś odczytywał raport zredagowany przez komisarza i z zadowoleniem kiwał głową, uśmiechając się przytem uprzejmie.

Bernardet, widząc wchodzących zwierzchników, skłonił się z uszanowaniem i natychmiast podszedł do pana Ginory, prosząc go oczami o porozumienie się na osobności.

Pan Ginory zrozumiał to natychmiast.

— Ah! To ty, Bernardet! — rzekł życzliwie. — Chcesz ze mną pomówić?

— Tak, panie sędzio — odpowiedział agent. — Ale oprócz tego chciałem prosić pana, aby natychmiast te zwłoki odesłano do sali prosektoryum.

Mówiąc to, lekko pociągnął za rękaw sędziego, prowadząc go ku oknu, zdala od reszty towarzysztwa.

— Cóż to za tajemnica, Bernardet? — zapytał sędzia.

— Nie tajemnica, tylko doświadczenie pewne do przeprowadzenia i wiem, że taki człowiek, jak pan, panie Ginory, musi się nim zainteresować.

Bernardet znał dobrze swojego zwierzchnika. Był przekonany, że nie cofnie się nigdy, kiedy chodziło choćby o najtrudniejsze zadanie, mogące przyjsć z pomocą wyrokom sprawiedliwości.

Słowo „doświadczenie” wywołało wyraz zaciekawienia na twarzy sędziego.

— Co przez to rozumiesz, Bernardet — zapytał.

Bernardet pokręcił głową, dając tem do zrozumienia, że wyjaśnienie będzie długie. Nie byli przecież sami — ktoś mógł podsłuchać i, gdyby dowiedziano się o niezwykle przedsięwzięciu...

— Ah! — przerwał komisarz. — Więc to coś nadzwyczajnego? Cóż to wymyśliłeś znowu, Bernardet?

— Ktoś inny, panie Ginory, uważałby mój pomysł za niedorzeczny, ale pan, to co innego. Oh! nie mówię dlatego, aby panu pochwalić, mówię zupełnie szczerze, pan weźmie tę rzecz poważnie, a drugi, mógłby mnie wyśmiać.

Pan Ginory chwilę bacznie obserwował tego małego, niepozornego człowieka o dobroduszej twarzy, w której tylko oczy świeciły niezwykle inteligencją i energią i poklepał go przyjacielsko po ramieniu.

— Co to za pokój? — zapytał po chwili, wskazując na otwarte drzwi do biblioteki. Do czego on służył?

— To pracownia pana Rovere.

— Wejdzmy tam.

Wchodząc do pokoju, pan Ginory machinalnie obrzucił spojrzeniem szafy, pełne książek i, usiadłszy we fotelu, skinął na agenta, dając mu do zrozumienia, że gotów jest go wysłuchać.